

## † Józefa Lucyna Bielecka (Popiel-Benzowa).

Tragedya młodej, a bardzo zdolnej artystki wstrząsnęła w ubiegłym tygodniu mieszkańców nie tylko Lwowa, ale i Krakowa i wielu miast prowincjonalnych, w których Lucyna Popiel-Benzowa występowała. Śmierć samobójcza przez zażycie trucizny wywołała szczery żal, tem większy, że powodem samobójstwa rwącej się do sztuki artystki była niemożność uzyskania *engagement*.

Rozpoczęła swoją karierę około roku 1884 jako kilkunastoletnia amatorka, a jej debiut miał takie powodzenie, że zadecydował o przyszłej karierze scenicznej. Zaraz potem debiutuje na scenie krakowskiej za dyrekcji Glicksona jako Spinoza w „Urielu“, dzieląc powodzenie z wykonawcą roli tytułowej Romanem Żelazowskim. Kiedy s. p. Ł. Kwieciński założył stały teatr w Stanisławowie zebrał ansambl, złożony z młodych a prawdziwie utalentowanych adeptów, a w ich gronie znalazła się i pani Benzowa jako jedna z pierwszych. W teatrze tym zajęła odrazu pierwszorzędne stanowisko, dublując z tak słynną w owym czasie panią Kwiecińską wszystkie „naiwne“, a po jej wyjeździe grając wszystkie te role sama jedna... W bardzo krótkim czasie stała się ulubienicą teatralnej publiczności, a recenzje z zachwytem wyrażają się o świetnej grze pani Popiel-Benzowej kwalifikując ją na scenę stołeczną. Ogromnie sympatyczne *exterieur*, umiejętne poruszanie się na scenie, niezwykła żywość temperamentu, bardzo miły, srebrzysty głos — to były zalety, które pozwalały tej zdolnej artystce stwarzać z każdej roli cacko prawdziwe. W rolach naiwnych (n. p. we wszystkich komedjach Bałuckiego) była wprost doskonała. Obok tego bierze role o głębszym zakresie, więcej refleksyjnym i w tych wykazuje dużo talentu. Z tych czasów najlepsze jej role są: rola tytułowa w „Poczwarcie“, Róża w „Walce motyli“, rola tytułowa w „Jadzia wdowa“, Helenka w „Panu Damazym“, Zofia (Kula u nogi), Berta w „Polowaniu na zięciów“, Norcia w „Wyrodnym ojcu“, Mania w „Letnikach“, Baletnica w „Żołnierzu królowej Madagaskaru“ i cały szereg innych.

To był najświetniejszy okres jej życia i jej działalności na scenie za dyrektorów Kwiecińskiego,



† Józefa Lucyna Bielecka.

a potem Antoniewskiego. W tym czasie zaprasza ją dyr. Heller na gościnne występy do Lwowa, gdzie przez cały miesiąc występuje i podoba się ogólnie. Lwów zna ją zresztą z występów stanisławowskiego teatru im. hr. Fredry w sali Klubu pocztowego, a potem w lecie 1897 w letnim teatrze na Wałach gubernatorskich.

Przez lat sześć od r. 1892—1898 występuje pani Benzowa z tymże teatrem w Krynicy podczas sezonu, a taksamo zwiedza z nim większe miasta prowincjonalne, jak Kołomyje, Czerniowce, Tarnopol, Przemyśl, Jarosław, Tarnów i inne, wszędzie stanowiąc jedną z najlepszych sił tego teatru. Po zwinięciu teatru im. hr. Fredry udaje się s. p. Lucya do Łodzi, do teatru Wołowskiego, z którym następnie wyjeżdża do Petersburga. Wreszcie wraca do Lwowa i nie mogąc na razie dostać się na scenę miejskiego teatru, przyjmuje propozycję tea-

tru ludowego... Od tej chwili zaczyna się dla niej szereg zawodów...

Jako artystka miała obok tylu innych zalet i tę, że nie umiała, czy nie chciała kłaniać się nisko i mówiła głośno prawdę... To dziś jest wada. Dzięki temu w ludowym teatrze nie dobrze się wiodło zdolnej artystce i musiała go porzucić. W ostatnim czasie była bez posady. Wyjeżdżała tylko w towarzystwie pp. Feldmana lub Kamińskiego na przedstawienia do innych miast prowincjonalnych. Z Feldmanem grała rolę tytułową w „Lekkomyślnej siostrze“, a ten znakomity artysta nie miał dość słów pochwały dla jej świetnej gry. To była zarazem jej ostatnia rola... Gościnne występy nie wystarczały dla artystki w kwiecie wieku i obdarzonej tak niepospolitym talentem, że mogłaby stanowić ozdobę sceny stołecznej. Starła się więc dalej o posadę we Lwowie. Przrzekano i przyrzekano... Czekala lat kilka... Nareszcie miała nastąpić zmiana w Krakowie. To była jedyna jej nadzieja. Zapukała do dyr. Solskiego. Tymczasem jeszcze nie — może później, odpowiedziano jej. Rozumiała, co to znaczy. Tak brzmiały wszystkie odmowy... Tak ciężki zawód po tylu innych potargał do reszty nadwątłone nerwy. W przystępie ataku zażyła wielką dawkę strychniny. Wszelki ratunek okazał się niemożliwym.

Ubiegłej soboty odbył się pogrzeb nieszczęśliwej artystki. Liczny zastęp kolegów i koleżanek zebrał się przed kapliczką przy ul. Piekarskiej. Wszyscy mieli łzy w oczach... Chór teatralny męski w komplecie pod batutą p. Paślowskiego odśpiewał po wyniesieniu trumny „Ave Maria“ Troszla, a następnie nad grobem dwie pieśni: „Cisza grobów nas ocienia“ X-a i tegoż „Już ostatni śpiew tobie brzmi“ z nadzwyczajną sprawnością. Na grobie złożono wieńce od artystów teatru miejskiego, od koleżanek i od dyrektora Władysława Antoniewskiego.

Z s. p. Popiel-Benzową schodzi do grobu talent prawdziwy, któremu panujące u nas fatalne stosunki nie pozwoliły dalej rozwijać się i działać z pożytkiem dla polskiej sceny. Tragiczna śmierć samobójcza młodej artystki jest smutnym świadectwem tych stosunków, a zarazem jednym dowodem więcej, że nie powinno się artyście odbierać sposobności do pracy, która jest potrzebą jego duszy

Cześć jej pamięci!

Klewe

GASTON CLOMNER.

## We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

6 (Ciąg dalszy).

— Proszę! jak zwykle u panów Anglików wszystko jest we wzorowym porządku! A teraz, możeby pan mógł nam powiedzieć coś, co by rzuciło światło na tajemniczy zgon Rudolfa Springera?

Ale to, co mister Parker opowiedział, w niczem nie wyswietlało sprawy. Prócz znanych już wszystkim okoliczności, nadmienił tylko, że zmarły podczas przedstawienia był w znakomitym humorze i sam zaproponował, aby po teatrze poszli gdzieś razem na kolację. Gdy wychodzili z teatru, tłum rozdzielił ich jednak i Parker stracił swego towarzysza z oczu. Szukał go wprawdzie, ale na próżno i wkońcu wrócił do hotelu.

— Ilez pan czasu stracił na szukanie zmarłego?

— Może kwadrans, może pół godziny! nie patrzyłem się na zegarek, więc też dokładnie określić tego nie mogę!...

— A czy potem udał się pan wprost do hotelu? Anglik nie odpowiedział zaraz. Widocznie nie zrozumiał dobrze pytania, ale gdy komisarz ponowił je, odparł z flegmą:

— Nie! bo nie miałem żadnego powodu obawiać się o pana Springera! Wstąpiłem więc przedtem do restauracji i zjadłem tam kolację, befszytk i wypilem przy tem szklanę wina...

— Dobrze! a w której restauracji?...

— W wielkiej jakiejś winiarni, tuż koło teatru. Nie znam jednak nazwiska właściciela tego lokalu!

— A która godzina była, gdy przyszedłeś pan do hotelu?...

— Co najwyżej kilka minut, a może kwadrans po dwunastej!...

— Dziękuję! Resztę już wiemy! A teraz proszę, niech państwo pozwolą za mną!...

Zwłoki Rudolfa Springera, przykryte białym prześcieradłem, leżały w drugiej izbie na kamiennych marach. Światło dwóch lamp gazowych padało na jego twarz, na której malował się łagodny uśmiech, a nie groza śmierci. Zdawało się, że staruszek nie umarł, ale śpi po trudach podróży. I tylko trupia bledność oblicza, tylko zapadnięte w głąb oczy mówiły, że to nie sen, tylko śmierć raz na zawsze ukołysała starca w swem objęciu.

Ciche łkanie rozdarło pierś Heleny, gdy ukłękła przy zwłokach ukochanego ojca i wzrok pełen bólesci utkwiała w jego uśmiechniętej twarzy. Urzędnik nie potrzebował lepszego dowodu, że zmarły jest jej ojcem i nie zwrócił się nawet do niej z tem urzędowym zapytaniem, tylko do Anglika, który stojąc wsparty o framugę drzwi, nie spoglądał na trupa, lecz na przeciwległą ścianę izby.

— Tak, panie komisarzy! to on! to on, niema najmniejszej wątpliwości! — rzekł obojętnym głosem Anglik i po chwili dodał jeszcze:

— Ależ to jeszcze okropne powietrze! Pozwoli pan, że wyjdę stąd bezwzględnie!...

Naturalnie urzędnik nie miał nic przeciwko temu i mister Parker w ogródku, otaczającym kostnicę, czekał na Helenę. W kwadrans później młode dziewczę opuściło kostnicę. Piękna jej twarzyczka była blada, jak marmur, oczy zaczerwienione od łez, a w rysach malował się taki smutek, że się patrzącym na nią serce krajało. Milczeniem odpowiedziała na kilka słów pociechy, które jej wyszeptał komisarz po drodze do dorożki, i wdzięczną była Anglikowi, że podczas powrotu do hotelu ani słówka nie odezwał się do niej.

W hotelu zastali oboje stryja Franciszka jeszcze bardziej wzburzonego, niż go pozostawili. Z kolei robił on sobie straszne wyrzuty, że uległ chwilowej słabości i nie towarzyszył Helenie; zasypywał przytem swą bratanicę przysięgami i zapewnieniami, że zastąpi jej zmarłego, że będzie drugim jej ojcem a wszystkie jego żale i skargi kończyły się jednym: wspomnieniami czulej miłości i przyjaźni oraz najserdeczniejszych stosunków,

jakie łączyły go zawsze i nieprzerwanie z nieboszczykiem bratem.

Sekoya zwłok wykazała niezbiecie, że Rudolf Springer zakończył życie przez utopienie się i że nie było najmniejszych śladów, któreby dowodziły, że ktoś popełnił zbrodnię na staruszku. Gdyby zaś i to nie wystarczało, aby wyrobić w policyi przekonanie, iż zmarły padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku, to fakt, że ubranie jego nie było poszarpane i że znaleziono przy nim wszystkie pieniądze oraz biżuterię, dowodził niezbiecie, iż o zbrodni mówić nawet nie było można.

A oprócz tego na drugi dzień zjawił się w policyi człowiek, którego zeznania w pewnej mierze wyjaśniały, skąd Rudolf Springer wziął się owej nieszczęsnej nocy w okolicy przystani. Człowiek ten był właścicielem gospody w dzielnicy, przylegającej do portu, a chociaż nie cieszył się on u władz bezpieczeństwa najlepszą reputacją, to jednak w tym wypadku nie potrzebował mu być niedowierzanie. Człowiek ten zgłosił się z własnej woli i zeznał, że owej nocy do gospody jego wszedł obcy całkiem, elegancki staruszek, zupełnie podobny do Rudolfa Springera, według rysopisu podanego przez gazety. W całej jego postaci widać było zmęczenie. Gdy wszedł i kazał sobie podać szklanę grogu, było już pewnie parę minut po jedenastej. Ponieważ cała gospoda była nabita majtkami, robotnikami portowymi i wogóle ludźmi należącymi do niższej sfery, on sam zaprowadził eleganckiego staruszka do swego prywatnego pomieszczenia i tu podał mu żądany napitek. Staruszek skarżył się wówczas przed nim, że dopiero tego dnia przybył z Ameryki północnej do ojczyzny i poszedłszy ze znajomym do teatru, po przedstawieniu zgubił go gdzieś w tłumie, a następnie zabłądził i idąc w fałszywie wskazanym kierunku, zaszedł aż do tej dzielnicy. Za namową gospodarza, gość odpoczął sobie z godzinę w jego pomieszczeniu, a potem, otrzymawszy dokładne wskazówki, któredy ma iść, aby dotrzeć do „Hotelu czterech pór roku“, udał się w dalszą drogę. Staruszek był wesół i w znakomitym humorze, pewnie jednak znów zmylił drogę, bo inaczej nie mógłby nigdy dostać się aż do przystani. [C. d. n.]